

gim łukiem na podłodze i pomału rosła. Śnieg szeptał, wpadając przez okno. Wszystkie zwierzęta na Högholmen uspokoiły się i przestały wyć, miały teraz towarzysztwo. Zaslony trzepotały i niektóre rysunki na ścianie trochę się ruszały. Pokój był wyziębiony i wyglądał inaczej niż przedtem, a mnie ogarnął spokój i uznałam, że z mojej strony wszystko zostało całkiem dobrze załatwione. Prawdę mówiąc, zrobiłam tylko to, co każdy dobry obywatel powinien zrobić. Chodzi mi o to, że przegnać niebezpieczeństwo potrafi byle kto, ale sztuką jest gdzieś je potem ulokować.

## Śnieg

Kiedy dojechałyśmy do tego nieznanego domu, śnieg zaczął padać w nowy sposób. Otworzyła się nad nami cała masa starych, zmęczonych chmur, które wyrzuciły go za jednym zamachem i byle jak. To nie były zwykłe płatki śniegu, spadały prosto w dół w dużych, lepkich pecynach, sklejały się ze sobą i szybko znikwały, i nie były białe, tylko szare. Świat zrobił się ciężki jak ołów.

Mama wносиła walizki, tupiała na wycieraczce i cały czas mówiła, bo wszystko wydawało się jej bardzo zabawne, dlatego że takie inne.

Ale ja się nie odzywałam, obcy dom mi się nie podobał. Stałam przy oknie, patrząc na padający śnieg, nie był taki, jaki powinien. W mieście był inny. Tam zaciągał nad dachem na białe i czarno albo padał z niebiańskim spokojem, tworząc piękne łuki na oknie w salonie. Tutaj krajobraz był groźny. Nagi i otwarty połykał śnieg, drzewa stały w czarnych szeregach kończących się niczym. Na



krawędzi świata widniał wąski skraj lasu. Wszystko było złe. Zima ma być w mieście, a na wsi jest lato. Wszystko poodwracało się do góry nogami.

Dom, wielki i pusty, miał za dużo pokoi. Wszędzie było bardzo czysto i nigdy się nie słyszało własnych kroków, bo tłumiły je dywany, duże i miękkie jak futra.

Gdy stało się w najdalszym pokoju, było widać na przestrzał wszystkie pozostałe i robiło się smutno; tak jak wtedy, gdy pociąg ma odjechać i jego światło rozjaśnia peron. Ostatni pokój był ciemny jak wnętrze tunelu, lekko tylko błyszczały złożone ramy i lustro, które wisiało za wysoko. Wszystkie lampy, przyćmione, rzucały bardzo mały krąg słabego światła. A gdy się biegło, nie było nic słyszać.

Na dworze było tak samo. Miętko i niewyraźnie, i tylko śnieg padał i padał.

Spytałam, dlaczego zamieszkałyśmy w tym dziwnym domu, ale nie dostałam zadowolającej odpowiedzi. Osoba, która gotowała posiłki, prawie nigdy się nie pokazywała i nie rozmawiała. Zjawiała się i znikwała tak cicho, że się jej nie zauważało. Drzwi zamykały się same, bezgłośnie, i długo chodziły w zawiasach, nim stanęły. Ja się w ogóle nie odzywałam, pokazując w ten sposób, że ten dom mi się nie podoba. Nie mówiłam nic. Po południu śnieg jeszcze bardziej zszarzał, spadał kupkami, przywierał do szyb i potem spływał, a z mroku wyłaniały się nowe kupki i robiły to samo, co poprzednie. Wyglądały jak szare dłonie o stu palcach. Próbowałam przypatrywać się jednej z nich przez cały czas spadania, rozczapierzyła palce i spadała,





coraz szybciej i szybciej, patrzyłam na następną i następną, aż w końcu oczy mnie rozbolały i zaczęłam się bać.

We wszystkich pokojach było gorąco i mogło się w nich zmieścić mnóstwo ludzi, a my byliśmy tylko dwie. Nie mówiłam nic.

Mama biegała zadowolona po całym domu i wołała:

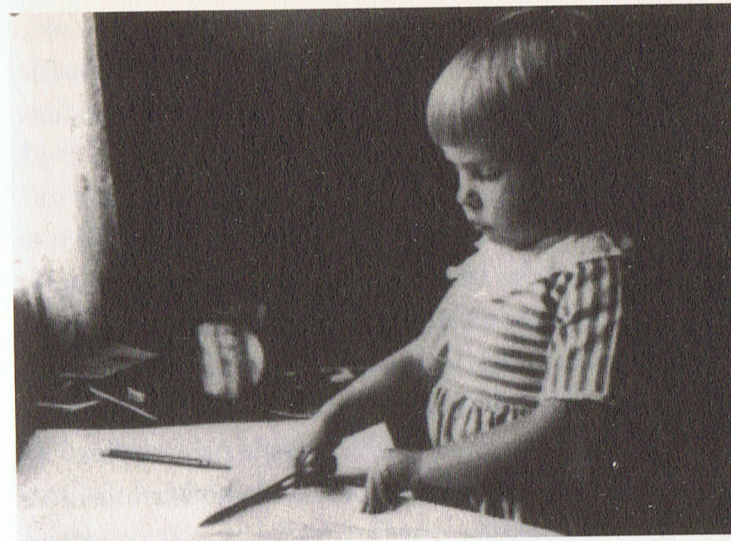
– Ach, co za spokój! I jak tu ciepło!

Potem zasiadła przy dużym, lśniąącym stole i zaczęła rysować. Odsunęła koronkowy obrus, rozłożyła wszystkie swoje ilustracje i otworzyła buteleczkę z tuszem.

Wtedy ja poszłam na górę. Schody trzeszczały i skrzypiały, i wydawały masę odgłosów, tak jak to robią schody, po których jakaś rodzina bardzo długo chodziła. To dobrze, schody powinny tak robić. Wie się dokładnie, który stopień skrzypi, a który nie, i gdzie trzeba stąpnąć, jeżeli się chce, żeby nie było nic słychać. Ale co z tego, kiedy te schody nie były nasze. Chodziła po nich jakaś zupełnie inna rodzina. Dlatego uważałam, że są upiorne.

Na piętrze wszystkie lampy paliły się słabym światłem, tak samo jak na dole, we wszystkich pokojach było sprzątnięte i napalone, wszystkie drzwi stały otworem. Prócz jednych. Za nimi był zimny, ciemny strych. Tam leżały w kartonach i skrzyniach rzeczy tej innej rodziny, w długich rzędach wisiały worki przeciwmolowe, trochę zaśnięzone u góry.

Teraz słyszałam śnieg. Padał cały czas, miękko i groźnie, szepcząc i szeleszcząc sam sobie, a w jednym rogu wpęłzył pod podłogę.





Tamta rodzina wszędzie na górze była obecna, więc zamknęłam drzwi na strych, zesłam na dół i powiedziałam, że chcę spać. Co prawda wcale mi się spać nie chciało, ale uważałam, że tak będzie lepiej. Bo wtedy nie będę musiała nic mówić. Łóżko było równie szerokie i nieprzyjazne jak krajobraz na zewnątrz. Kołdra przypominała dłoń. Zapadałam się i zapadałam pod tą dużą, miękką dłonią, aż na dno świata. Nic nie było tak jak w domu ani jak gdziekolwiek indziej.

Rano śnieg padał tak samo. Mama rozkręciła już swoją robotę i była zadowolona. Nie musiała palić w piecu ani gotować, ani o nikogo się niepokoić. Ja nic nie mówiłam.

Poszłam do pokoju, który był najdalej, i obserwowałam śnieg. Ciężyla na mnie duża odpowiedzialność, musiałam pilnować, co on robi. Przybyło go od wczoraj. Tysiąc ton mokrego śniegu zjechało po szybach, musiałam wejść na krzesło, żeby zobaczyć daleki, szary krajobraz. Na dworze też śniegu przybyło. Drzewa zrobiły się chudsze i bardziej wystraszone, widnokrąg przesunął się dalej. Przyglądałam się temu wszystkiemu, aż zdałam sobie sprawę, że niedługo będziemy zgubione. Ten śnieg postanowił padać, dopóki wszystko nie stanie się jedną wielką, mokrą zaspą i nikt nie będzie pamiętał, co było pod nią. Wszystkie drzewa miały zapaść się pod ziemię, i domy też. Żadnych dróg ani śladów, tylko śnieg, który pada i pada, i pada.

Poszłam na strych i przysłuchiwałam się, słyszałam, jak pada, przykleja się, osiada i rośnie. Nie mogłam myśleć o niczym innym jak tylko o nim.

Mama rysowała.

Zaczęłam wznosić na kanapie budowlę z poduszek i co jakiś czas patrzyłam na mamę przez szparkę między nimi. Wyczuła mój wrok i spytała, nie przestając rysować:

– Dobrze ci?

– Owszem – odpowiedziałam.

Potem poszłam na czworakach do ostatniego pokoju, wdrapałam się na krzesło i patrzyłam, jak śnieg, opadając, zbliża się do mnie. Teraz cały horyzont wpelź pod krawędź świata. Nie było już widać skraju lasu, ześliznął się i znikł. Świat wywrócił się i przekręcał powoli, mały kawałek każdego dnia.

Sama myśl o tym przyprawiała mnie o zawrót głowy. Wolno, wolno obracał się ciężki od śniegu świat. Drzewa i domy nie stały już pionowo. Chyliły się. Niedługo trudno będzie chodzić prosto. Mieszkańcy ziemi będą musieli się czołgać. Okna, jeżeli zapomnieli je zabezpieczyć na haczyki, otworzą się. Tak samo drzwi. Beczki na wodę przewrócą się, potoczą po bezkresnym polu i znikną za krawędzią świata. Cały świat jest pełen toczących się, przewracających i spadających rzeczy. Duże lecą z hukiem, słysząc je z daleka, trzeba obliczać, dokąd doleczą, i usuwać im się z drogi – właśnie się zbliżają, dudniąc, skaczą w śniegu i w końcu spadają w przestrzeń kosmiczną. Małe domy bez piwnic odrywają się od ziemi i odlatują, wirując. Śnieg przestał padać, frunie teraz horyzontalnie. Leci do góry i znika. Wszystko, co nie trzyma się mocno, wytacza się w przestrzeń i po mału niebo ciemnieje, i robi się czarne.



W domu podłoga stała się ścianą, a dywany zwinęły się w miękkie wał pod rzędem okien. Czołgałyśmy się pod meblami między oknami, uważając, by nie nadepnąć na szkło. Bo czasem odrywał się jakiś obraz albo kinkiet i tłukł szybę. Dom jęczał, odpadał tynk. A na dworze przelatywały z hukiem wielkie, ciężkie przedmioty, przetańczające się przez całą Finlandię, aż z Rovaniemi, jeszcze cięższe, gdy się toczyły, bo oblepiał się na nich mokry śnieg, i czasem ludzie przewracali się koło nich, i cały czas krzyczeli.

Śnieg leżący na ziemi zaczął się ześlizgiwać. Sunął ogromną lawiną, która rosła i rosła nad krawędzią świata... och, nie! och, nie! Turlałam się tam i z powrotem po dywanie, żeby jeszcze wzmóc moje przerażenie, aż w końcu zobaczyłam, że ściana zafalowała nade mną, a obrazy na stalowych drutach zawisły prostopadle.

– Co robisz? – spytała mama.

Przestałam się turlać i leżałam nieruchomo, nic nie mówiąc.

– Może opowiemy sobie jakąś historię? – zapytała mama i dalej rysowała.

Ale ja nie chciałam żadnej innej historii niż moja własna. Tylko że takich rzeczy się nie mówi. Więc powiedziałam:

– Chodź, pokażę ci coś na strychu.

Mama wytarła piórko z tuszu i poszła ze mną. Stałyśmy tam przez chwilę, marznąc. Mama odezwała się:

– Jaka tu samotnia!

Wróciłyśmy więc do ciepła i mama zapomniała opowiedzieć mi historię. A ja poszłam spać.

Następnego rana światło było zielone, cały pokój tonął w podwodnym świetle. Mama spała. Wstałam, otworzyłam drzwi i zobaczyłam, że we wszystkich pokojach palą się lampy, mimo że jest rano; zielone światło przenikało przez śnieg zasłaniający wszystkie okna aż do samej góry. Stało się. Dom był jedną wielką zaspą, a powierzchnia ziemi znajdowała się gdzieś wysoko nad dachem. Niedługo drzewa też zaczną wpełzać pod śnieg, tylko wierzchołki będą jeszcze sterczały, a potem i one znikną, i wszystko się wyrówna, i będzie płaskie. Wiedziałam, wiedziałam, że tak się stanie. Nawet modlitwy by tego nie powstrzymały.

Poczułam się bardzo uroczyście i, całkiem spokojna, usiadłam na dywanie przed kominkiem.

Mama obudziła się, przyszła i powiedziała:

– Zobacz, jak to zabawnie wygląda! – Nie rozumiała, jaka to poważna sprawa. Gdy jej opowiedziałam, co się naprawdę stało, głęboko się zamyśliła.

– W gruncie rzeczy – odezwała się po chwili – zapadłyśmy w sen zimowy. Nikt już tu nie może wejść ani stąd wyjść!

Popatrzyłam na nią uważnie i zrozumiałam, że jesteśmy uratowane. Nareszcie byliśmy całkowicie bezpieczne w osłonie śniegu. Groźny śnieg schował nas w ciepłym miejscu na zawsze i nie musiałyśmy się w ogóle martwić tym, co się dzieje na zewnątrz. Poczułam niesamowitą



ulgę i zaczęłam wołać: „kocham cię, kocham cię”, łapałam po kolei wszystkie poduszki i rzucałam nimi w mamę, śmiałam się i krzyczałam, a mama odrzucała mi poduszki i w końcu leżałyśmy na dywanie, już tylko się śmiejąc.

Potem zaczęłyśmy nasze podziemne życie. Spacerowałyśmy sobie w koszulach nocnych i nie robiłyśmy nic. Mama nie rysowała. Byłyśmy niedźwiedziami z igliwem w brzuchu i rozszarpałyśmy każdego, kto zbliżał się do naszego legowiska. Nie oszczędzałyśmy drzewa opałowego, wrzucałyśmy polana jedno po drugim, a ogień buzował na całego.

Co jakiś czas pomrukiwałyśmy. Niech niebezpieczny świat sam się sobą zajmie, nie nasza sprawa, on umarł, wypadł w przestrzeń kosmiczną. Zostałyśmy tylko mama i ja.

To się zaczęło w najdalej położonym pokoju. Najpierw był wstrętny odgłos szurających wielkich szufli. Potem śnieg zjechał po szybie okiennej i wszędzie dostało się szare światło. Na zewnątrz ktoś, ciężko stąpając, podszedł do kolejnego okna i wpuścił więcej światła. To było okropne. Szuranie posuwało się od okna do okna, aż w końcu lampy ledwo świeciły, niczym na pogrzebie. Na dworze padał śnieg. Drzewa stały w rzędach, czarne jak przedtem, przyjmując na siebie śnieg. Skraj lasu na horyzoncie wciąż był.

Poszłyśmy się ubrać. Mama zasiadła do rysowania.

Jakiś mężczyzna, jak ciemne widmo, odgarniał teraz śnieg przed drzwiami, a ja nagle zaczęłam płakać i wrzasnęłam:

– Ugryzę go! Wyjdę i ugryzę!

– Nie trzeba – powiedziała mama. – Nie zrozumiałby.

Zakręciła buteleczkę z tuszem i rzekła:

– Może byśmy pojechały do domu?

– Tak – odparłam.

I pojechałyśmy.